

Randka dwojga kochanków na łódce w scenerii letniej

Była piękna, upalna, sierpniowa niedziela. Stasiek w drodze powrotnej z kościoła śpieszył odwiedzić Olenę. Dziewczyna wróciła z cerkwi i z utęsknieniem oczekiwała ukochanego. Widząc go z daleka idącego drogą wychodzącą z lasu, wybiegła na jego spotkanie. Droga prowadziła przez łąkę wzdłuż brzegu rzeki. Olena biegła, przytrzymując rękoma szeroką, strojną spódnicę. Jej czarne warkocze miały się na haftowanej bluzce. W tym biegu przypominała barwną rusałkę, która wyszła z wody Korminu i mknie na spotkanie ze swoim kochankiem. Stasiek, widząc ją, biegł też w jej kierunku. Szybko zbliżali się do siebie z gwałtownym biciem rozkochanych serc, aż wpadli sobie w ramiona. On uniósł ją i w szalonym uniesieniu wirował jak w tańcu, a potem znieruchomieli w długim, gorącym pocałunku. Chłopak przyszedł do Oleny z zamiarem zabrania jej na przechadzkę. Zateśnił za moczarami Korminu i chciał je odwiedzić w jej towarzystwie.

Dzień był cichy, bezwietrzny, na niebie ani jednej chmurki. Cała okolica tonęła w jaskrawym świetle słonecznym. Z biegiem rzeki do rozlewisk było około kilometra. Drogę tę chcieli przebyć łodzią Aleksandra, która w pobliżu stała ukryta w łożach. Olena usiadła w dziobie łódki, cicho śpiewała. On wprawnie wiosłem wprowadził łódź na środek rzeki. Początkowo płynęli przez szpaler łoż i pochylonych nad wodą starych olch, miejscami tak gęstych, że ich ogromne korony łączyły się ze sobą, tworząc zielony tunel, niemal całkiem przykrywający niebo. Tylko miejscami słońce przedzierało się przez to sklepienie, rzucając na wodę jasne smugi. Później wypłynęli na teren odkryty. Przed nimi na lewym brzegu rzeki szeroko rozpościerały się kwieciste łąki, na nich kroczące bociany, a dalej ciemna wstęga borów. Na prawym brzegu widzieli już wyzłoczone słońcem oczerety rozlewisk, graniczące ze ścianą starej dąbrowy. Ten cały, leżący przed nimi malowniczy widok przecinał lśniący w słońcu Kormin. Ich łódka unoszona prądem płynęła szybko i wkrótce zanurzyli się w oczeretach. Olena przestała śpiewać. Z opowiadań Staśka wiedziała, że tu należy zachować ciszę.

On nigdy w towarzystwie innych osób nie odwiedzał rozlewisk. Lubił bywać tu samotnie. Dla niej jednak zrobił wyjątek. Czuł teraz, że jej obecność stanowi uzupełnienie wszystkiego, co tu go fascynuje. Rozmiałowanym wzrokiem patrzył na ukochaną. W milczeniu pokazywał jej kurki wodne, ciemne grzbiety ryb pod wodą, gniazda ptasie zawieszane na trzcinach. To znów zabawiał ją wabieniem dzikich kaczek. Gdy po mistrzowsku naśladował kacze kwakanie, z szuwarów nadpływały kaczki, które mu odpowiadały i coraz bardziej zbliżały się do ukrytej w szuwarach łódki. Dziewczyna była olśniona. Jej twarz promieniała. Stasiek przerwał jednak tę zabawę, nie chcąc zakłócać spokoju środowiska, jego codziennego harmonijnego życia. Oto wśród delikatnego szmeru oczeretów rozlegało się kumkanie żab, tam znów słychać było plusk wody igrających ryb, z głębi oczeretów dochodziło przeciągłe kwilenie jakichś piskląt, domagających się żeru. Gdzieś naraz rozkwakały się kaczki jakby w jakimś sporze, a w pobliskim lesie zapamiętałe gwizdał kos, szczebiało różne ptactwo, turkotały dziecięcy... A przy tym ten piękny, upalny dzień łagodnie schładzany oddechem zieleni i wody... I w tle tego ich dwoje, siedzących na chybotzącej się łódce, wpatrzonych w siebie, szczęśliwych, pochłoniętych sobą i urokiem otoczenia, jakby wrosniętych w tę otaczającą ich bujną przyrodę i jak dwa piękne, niewinne kwiaty nenufarów, widokiem swym zdobili to miejsce.

Przez szacunek do tego wszystkiego, co tu żyło, swoje spostrzeżenia i uwagi nada! wymieniali szeptem. Zachowywali się jak w świątyni, której bóstwem jest niepodzielnie królująca przyroda. W końcu Olena jak nieodrodna córka tej ziemi swój nastrój musiała wyrazić śpiewem. Gdy delikatnie zabrzmiał jej piękny głos i napełnił ciszę melodią jakiejś smętnej, ukraińskiej dumki, chłopak z zachwytem odczuł, że śpiew jego dziewczyny nie

zakłóca spokoju i harmonii środowiska, a nawet wzbogaca to wszystko, co tu do niego przemawia. Zasluchany siedział wpatrzony w ukochaną. Czas mijał niepostrzeżenie. Słońce już skryło się za lasem, zmierzając ku zachodowi, i należało wracać do domu.

Powrotną drogę mieli trudniejszą, płynęli bowiem pod prąd, ale silne pchnięcia wiosła posuwały łódź do przodu. Dziewczyna nadal śpiewała. Chłopak zasluchany w jej śpiew nie czuł wysiłku wiosłowania ani miary czasu i tak niepostrzeżenie znaleźli się przed chatą Ołeny.

Przygoda myśliwska w zimowej scenerii

Pewnego poranka Mateusz z synem załadowali na sanie trochę siana i wyruszyli do lasu. Wzięli też strzelbę z zamiarem zapolowania na dzika. Był to okres, kiedy można było polować na koziołka, ale ze względu na ciężki los saren w czasie tej srogiej zimy sumienie nie pozwalało dodatkowo ich niepokoić. Inaczej było z dzikami: latem wyrządzały duże szkody, żerując na łąkach prosa, owsa, kukurydzy czy zagonach kartofli. Były więc plagą gospodarstw położonych w pobliżu lasu. Rosnąca populacja tych zwierząt była niewskazana i odstrzał był pożądanym.

Jechali leśną drogą zasypaną śniegiem. Było, jak tu mówiono, kopno i konie, brnąc w śniegu, wolno ciągnęły sanie. Stasiak doskonale znał ten las, to tu wypasał bydło. Podziwiał teraz jego zimową krasę. Piękny, sosnowy bór, pełen zimowego uroku szeroko rozciągał się wokół nich, tworząc perspektywę niekończącej się głębi smukłych, strzelistych pni, wychodzących z białego kobierca śniegu, szarych u stóp i stopniowo przechodzących w odcień złocisty wysoko w górze, gdzie na tle nieba zieleniły się ich iglaste korony. Wśród tych niebotycznych drzew były też małe, uginające się pod obfitym nawisem śniegu, niektóre całkiem pokryte śnieżną watą tworzyły fantastyczne, bajkowe figury.

Nieskazitelna biel śnieżnego dywanu znaczone była tylko śladami dzikich zwierząt. Żadnych śladów człowieka, żadnych śladów pojazdów... Jechali przez te białe, jakby dziewicze, nietknięte stopą ludzką, ustronie. Dzień był cichy, bezwietrzny. W porównaniu z porą letnią, kiedy las rozbrzmiewał licznymi ptasimi głosami, teraz ogarnięty był głęboką ciszą, jakby uspijony pod śnieżną pierzyną. Ten wielki, dostojny spokój i cisza, kryształowo czyste powietrze i ośnieżone drzewa, wszystko to poruszyło wrażliwą duszę Staśka, napełniając go zachwytem i podziwem. Czuł się tu jak w jakiejś monumentalnej świątyni, nieskalanej cywilizacją. Widocznie Mateusz też na swój sposób odczuwał to piękno, bo przez pewien czas jechali w milczeniu. Wreszcie pierwszy przemówił ojciec:

- Anu, synu, weźmi tera z dwa oberemki siana i pokładnij uńdzio o, pod tymy sosnamy. I wskazał palcem miejsce, gdzie należy położyć siano. Takie porcje paszy podrzucali sarnom w dalszej swojej drodze. W pewnym momencie spostrzegli krwawą plamę na śniegu i ślady wilczych łap. Tu wilki rozszarpały sarnę. Wstrząśnięty tym widokiem Stasiak myślał: "O ile straszniejsza jest taka dzika śmierć od tej, jaką zadaje myśliwy?"...

W czasie dalszej jazdy gromada saren w fantastycznych długich susach przecięła im drogę i niezbyt daleko się zatrzymała. Spłoszone zwierzęta odwróciły głowy i jakby zdziwione patrzyły na konie i jadące sanie. Były w zasięgu strzału, ale żadnemu nie przyszło na myśl, by do nich strzelać. Mężczyźni patrzyli na nie z ciekawością i starali się ich nie płoszyć.

Powoli zbliżali się do matecznika dzików, które zwykle gnieździły się w bardzo gęstym, trudno dostępnym lesie. W tym wypadku był to młody gaj świerkowy. Korony świerków sięgają ziemi szeroko rozpostartymi, gęstymi gałęziami. Pod nimi nie ma śniegu i jest cieplej. Dziki upatrzyły sobie to miejsce na legowisko. W dzień ukryte pod świerkami spały i dopiero wieczorem wychodziły na żer. Mateusz stanął na czatach za zagajnikiem, a Stasiak został przed nim i po pewnym czasie rozpoczął nagonkę. Utrudniała mu to gruba warstwa śniegu, ale jako że był silny, radził sobie nieźle. Dużymi krokami brnął w śniegu i kijem uderzał po gałęziach drzew. Towarzystwo temu głuche uderzenia kija i pył spadającego z gałęzi śniegu. To wystarczyło, aby wypłoszyć te czujne zwierzęta. Nie było obawy, że dzik mógł zaatakować. Dziki nie są agresywne do człowieka i tylko kiedy nie mogą uciekać, się bronią. Maciory, gdy mają prosięta, mogą atakować w ich obronie. No ale w zimie macior z prosiętami nie było, więc Stasiak nie miał

żadnej obawy. Z trudem, ale skutecznie pokonywał przestrzeń, waląc kijem na prawo i lewo. Wreszcie usłyszał strzał. Teraz już prosto szedł w jego kierunku. Dalsze płoszenie zwierząt było zbyteczne, gdyż strzał wypłoszył je wszystkie z całego zagajnika.

Mateusz czekał na syna. Około pięćdziesięciu metrów od niego w śniegu leżał dzik. Celnie trafiony zdołał jeszcze ujść kawałek, ale krwawił obficie i wyczerpany padł w puszystą pierzynę. Myśliwi uważnie szli jego śladem. Duże plamy krwi mogły świadczyć, że zwierzę już nie żyje. Bywa jednak, że osłabiony dzik padał, ale miał jeszcze na tyle siły, ażeby w swojej obronie zaatakować człowieka. Tym razem zwierzę leżało bez ruchu. Mateusz trącił go lufą. Dzik nie reagował. Schylił się i pomacał jego bok.

— Niczego sobie warchlaczek, będzie chiba dwa z połowo puda. Idzi, Staśku, po koni.

Dzik był młody, toteż bez dużego wysiłku wrzucili go na sanie. Z myśliwską zdobyczą zadowoleni wracali do domu.